

Tekst i zdjęcia: Dariusz Tomasz Lebioda

## Nankin



Droga duchów

Na wielkim dworcu w Nankinie wędruję najpierw na dolnej platformie, a potem wchodzę na górne tarasy i z ich wysokości przyglądam się ludziom. Nieprzebrane tłumy czekają, aż na wielkich telebimach pojawi się informacja o zbliżającym się pociągu, a wtedy wolno wstają z miejsc i ustawiają się w kolejce do odpowiedniego zejścia. Piękne młode kobiety i staruszki, których pomarszczone twarze zdradzają, że ich życie nie było lekkie za panowania kolejnych przywódców, chłopcy i młodzieńcy wykazujący wielkie ożywienie i mężczyźni w kwiecie wieku, karnie czekający na swoją kolej przy bramce, gdzie urzędnik kolejowy sprawdza bilety i dokumenty tożsamości. Wolno przesuwam się do przodu i przed moimi oczyma pojawiają się obrazy kilku ostatnich dni. Oto wkraczam do wielkiego ogrodu cesarskiego we wschodniej części miasta, gdzie u podnóża Purpurowej Góry usytuowano mauzoleum Ming Xiaoling. Szeroka aleja (droga duchów) prowadzi do strażnic, a po ich przejściu

odsłania się widok na okrągły kopiec o średnicy czterystu metrów, usypany nad grobowcem Hongwu, pierwszego cesarza z dynastii Ming, żyjącego w latach 1328-1398. Urodził się jako Zhu Yuanzhang (chiń. 朱元璋) w ubogiej rodzinie chłopskiej w prowincji Jiangsu, a potem godołwał wraz z rodzeństwem i szukał schronienia w klasztorze buddyjskim. Szybko okazało się, że musiał go opuścić, bo zabrakło środków na przygotowywanie posiłków. Tak stał się wędrującym żebrakiem. Po trzech latach powrócił jednak do klasztoru, gdzie nauczył się czytać i pisać. Niestety, gdy miał zaledwie dwadzieścia cztery lata, jego świątynię i przyległe budynki zburzyły wojska mongolskiej dynastii Yuan. Zhu znowu ruszył w drogę i postanowił przyłączyć się do powstania czerwonych turbanów. Szybko awansował, ożenił się z córką przywódcy, co dopomogło mu w objęciu dowództwa nad armią chłopską. Miał dwadzieścia siedem lat i piał się w górę, został przywódcą i poprowadził wojska

na Pekin, gdzie w 1368 roku obwołano go cesarzem zjednoczonych Chin. Potrafił być bardzo surowy, ale też – pamiętając o swojej przeszłości – robił wszystko, by polepszyć byt najuboższych warstw społecznych, między innymi rozdzielił między chłopów ziemię możnowładców mongolskich i złagodził system podatkowy. Dzięki inwestycjom irygacyjnym, zbiory zbóż i innych płodów rolnych były większe, co przelożyło się na poprawę bytu biedoty, która zaczęła też korzystać z papierowych pieniędzy, wprowadzonych przez cesarza.

Szybko przeszedłem drogę duchów, przecinającą ogromny kompleks grobowy o powierzchni prawie trzech tysięcy hektarów, minąłem bramę Dajinmen, zniszczoną w dziewiętnastym wieku podczas powstania tajpingów, a obecnie pięknie zrekonstruowaną. Za tym budynkiem znajduje się pawilon Sifangchen, w którym Yongle, syn i następca Hongwu na cesarskim tronie, umieścił na grzbiecie kamiennego żółwia stelę wysławiającą dokonania ojca. Stąd było już widać kopiec usypany nad grobowcem, w którym pochowano cesarza wraz z żoną Ma i jego nieszczęsnymi konkubinami. Budowa mauzoleum zakończyła się dopiero w roku 1431, ale małżonka spoczęła w grobie już w roku 1384, czekając do roku 1398 na paradny pochówek jej męża. Chińczycy bardzo dbają o spokój takich miejsc i rozkopali zaledwie trzy grobowe wzgórza, dostając się do wewnętrznych komór. Możemy tylko domniemywać, jakie skarby znajdują się pod ziemią, jak pyszne i wykwintne artefakty czekają na odsłonięcie w kolejnych kopcach cesarskich. Szczególnie intrygujący jest grobowiec w Xiaan, usytuowany niedaleko słynnej terakotowej armii, która miała być zapleczem władcy w zaświatach.

Pobył w ogrodzie cesarza dynastii Ming ma w sobie wiele z moich wcześniejszych wyobrażeń o Chinach, zarówno jeśli chodzi o ich heroiczną i krwawą historię, jak i warstwę wizualną. Ta czysta przestrzeń może oczarować rozległością alei, prowadzącej do kolejnych budynków, a nade wszystko kształtem i urodą kolejnych pawilonów, krytych pięknymi dachówkami. Na skrajach ich delikatnych krzywizn łatwo zauważymy porcelitowe figurki *Dūn shòu* (蹲兽), czyli przycupnięte bestie, usadowione w linii prostej, jedna za drugą. Od dawien dawna były one znakiem statusu właściciela budynku i umieszczano je na dachach za zgodą cesarza. To był rodzaj potwierdzenia, że osoby żyjące w danym domu należą do elity społeczeństwa chińskiego i cieszą się przychylnością władcy. Ich ilość też miała znaczenie i wahała

się od jednej do dziewięciu, a tylko Pałac Najwyższej Harmonii w pekińskim Zakazanym Mieście ma dziesięć figurek. Miało to podkreślać jego wagę dla cesarstwa i odróżniać go od innych tego typu pawilonów – na przykład Pałac Niebiańskiej Czystości przyozdobiono dziewięcioma, a Pałac Ziemskiego Spokoju tylko siedmioma symbolicznymi figurkami. Postaci te miały przede wszystkim chronić budynek przed żywiołami pogodowymi, ogniem i słońcem, deszczem, śniegiem i mrozem. Te stworzenia z mitologii chińskiej zawsze ustawiano w ściśle określonej kolejności, zgodnie z ich hierarchią – pierwsza z figurek to nieśmiertelny król *Min*, skazany na wieczną wędrówkę po ziemi. Dalej ustawiano smoka i feniksa, symbolizujących cesarza i cesarzową, akcentując, że są oni silniejsi od następnego w kolejności – lwa, stojącego na straży gór i lasów cesarstwa. Z kolei jednorożec i konik morski są symbolami władzy cesarskiej, od morza, poprzez ziemię, aż do powietrza. Po nich ustawiano dwa stwory mityczne: *Yayu* (押鱼) i *Douniu* (斗牛), wynurzające się z głębin morskich, przyciągające opady i zbierające wody, co mogło zapobiegać pożarom drewnianych budynków. Dalej odnajdziemy legendarną bestię *Suanni* (狻猊), mogącą pożerać największe kocie drapieżniki (lwy, pantery, tygrysy i rysie), chroniącą całą przyrodę państwa. Ostatnie dwie figury to chimera *Xiezhi* (獬豸), odróżniająca prawdę od fałszu i latająca małpa *Hangshi* (行什), chroniąca budynki przed piorunami. Wszystkie figurki chroni *Chiwen*, czyli młody smok, umieszczany na skraju dachu, mający też często formę paszczy wypluwającej wodę.

Jest coś ostatecznego w wiśniowej barwie budynków pokrytych żółtawo-pomarańczowymi dachówkami i obcowanie z nimi przypomina wchodzenie bohaterów kulturowych do mitycznych, zakazanych krain. Tak jak oni, wspina się po schodach na szczyt ostatniej strażnicy, broniącej dostępu do kopca cesarskiego, pod którym głęboko pod ziemią złożono trumny i skarby. Inne odsłonięte grobowce dają wyobrażenie o tym, jak tajemnicza rzeczywistość została tam zatrzymana w czasie, wszak do grobowca cesarza Wanli niedaleko Pekinu, zwanego Dingling (定陵) schodzi się schodami dwadzieścia siedem metrów pod ziemię. I dopiero na dole widać rozmach tego typu konstrukcji, przypominającej krzyżowe połączenie przestronnych hangarów, kryjących nowoczesne odrzutowce, a nie miejsce spoczynku władcy i jego dwóch żon. Podobnie musi być w grobowcu nieopodal Nankinu i aż dziw bierze,

że najeźdźcy japońscy nie zapragnęli dobrać się do kosztowności tkwiących pod ziemią. Teraz mauzoleum Ming Xiaoling jest oazą spokoju i ulubionym miejscem spacerów mieszkańców tej ogromnej metropolii, a także przybywających zewsząd turystów. Ten wielki park wypełniony rzeźbami, znakomicie zagospodarowany jest przypomnieniem wielkości i wspaniałości cesarskich Chin. Dynastia Ming (1368-1644) dźwignęła ten rozległy kraj na wyższy

poziom rozwoju, a przy tym pozostawiła po sobie tak wspaniałe zabytki jak ceglana część Wielkiego Muru, Zakazane Miasto i Świątynię Nieba w Pekinie oraz liczne pagody, będące znakiem harmonii i ładu. Ming znaczy w języku chińskim „coś ośniewającego”, „coś wspaniałego” i widzimy to w malarstwie na jedwabiu, w rzeźbach i przy wytwarzaniu wykwintnej porcelany, a nade wszystko w takich kompleksach jak Ming Xiaoling, z którego wychodzę z ogromnym żalem, mając nadzieję, że kiedyś znajdę się tu raz jeszcze. Ulica Nankinu także obfituje w liczne wydarzenia, do których zaliczyć należy ruch samochodów, motocykli, bum-bumów, rowerów i pieszych, przemykających ku swoim celom. Uliczni grajkowie, specjalnie ucharakteryzowani na Chińczyków z odległych wieków, budowniczości wysokich wieżowców, policjanci i strażacy, kierowcy autobusów miejskich i kolejarze z rozgałęzionego metra – wszyscy gdzieś podążają, wszyscy mają jakiś cel, jakby ogromne ludzkie mrowisko zjednoczyło się w drodze ku przyszłości i budowie nowego imperium, gdzie historia sąsiaduje z nowoczesnością, a ludzie wiedzą, że tylko praca może dźwignąć ich na wyższy poziom rozwoju. Przemierzam kolejne ulice, chłonąc wszystko jak gąbka, przyglądając się małym sklepikom, restauracyjkom i wielkim wieżowcom, mającym w oddali. Jestem w Chinach i wszystko ma tutaj swoją wartość, która w przeszłości zaowocuje w różnorodny sposób, wzbogaci mnie niewyobraźalnie.

Dokucz mi *jet lag*, więc budzę się po kilku godzinach – w Nankinie jest szósta rano, ale w Polsce jest już dwunasta, więc moja aktywność o tej porze jest normalną rzeczą. Odslaniam grube zasłony i przyglądam się rzeczywistości za oknem, tonącej w charakterystycznej chińskiej

*Jest  
coś ostatecznego  
w wiśniowej barwie  
budynków pokrytych  
żółtawo-pomarańczowymi  
dachówkami i obcowanie  
z nimi przypomina wchodzenie  
bohaterów kulturowych  
do mitycznych, zakazanych  
krain.*

mgłę. Widać, że to miasto szybko przekształca się w metropolię, ale wciąż jeszcze wiele jest w nim domów z poprzedniej epoki. Sporo tutaj też nowoczesnych wieżowców, ale pomiędzy nimi stoją domy niższe lub zupełnie małe, które niebawem zostaną zburzone i ich miejsce zajmą wielopiętrowe świątynie chińskiego postępu. Widzę w dali taki drapacz chmur, otulony we mgły, ale z każdą chwilą wyłaniający się z nich i lśniący w dali niczym tajemniczy, wielki obe-

lisk. Na pobliskich drzewach zauważam sroki błękitne, moje ulubione chińskie ptaki, jakże egzotyczne w swoim umaszczeniu, a zarazem jakże bliskie polskim, swojskim ptakom krukowatym. Tutaj wylęgły się z jaj, nauczyły się polować i zdobywać pożywienie na śmietnikach i tutaj będą przez całe życie. Jak ludzie, którym nigdy nie przyjdzie do głowy by porzucić to miasto, pojechać do innego urbanistycznego molocha albo do sąsiedniego kraju – Birmy, Wietnamu, może Tajlandii. Myślę o tych zasiedlonych mieszkańcach miast, którzy urodzą się, będą codziennie przemierzać miejskie przestrzenie w drodze do pracy i podczas powrotu do domu, a potem umrą spokojnie i zrobią miejsce nowym pokoleniom. To się odnosi przede wszystkim do starszych ludzi, bo młodszy już dostrzegł, jakie szanse dają im nowe Chiny, wciąż pełne obostrzeń, ale też pozwalające się rozwijać. Moją przyjaciółką Si urodziła się w Szanghaju, przebywała z rodzicami w Kantonie, by osiąść w Xuzhou, a potem dalej kształcić się i pracować w Pekinie. Długo mieszkała we wspólnotowym mieszkaniu na dwudziestym trzecim piętrze wieżowca, ze wspólną kuchnią i ubikacją, uczestnicząc w wielkim pędzie stolicy kraju. I dopiero niedawno osiągnęła niezależność, zdobyła piękny apartament, który urządziła z wyszukany smakiem. Stoję przy oknie i rozmyślam o takich ludziach jak ona, a jednocześnie cieszę się nową obecnością w Państwie Środka.

Moją uwagę przykuwa małe podwórko sąsiadujące z hotelem, które z tej wysokości jest dobrze widoczne. To kilka domów z czerwonej cegły i betonu, pokrytych dachówkami, dość brudnych, z wewnętrznymi przestrzeniami zagraconymi jakimiś starymi sprzętami, papierami i szmatami. Przy jednym z domów widzę coś na kształt

wieży zbudowanej z szarych cegieł, przypominających te, które zobaczą na Chińskim Murze. Może to jakiś fragment murów miejskich, a może po prostu pozostałość po starym Nankinie, zaadaptowana do celów użytkowych. Na jej dachu urządzono niewielki ogródek z roślinami w dużych donicach, zamontowano też trzepak, na którym teraz wisi pranie. Druga część zwieńczenia tej wieży wygląda jak graciarnia – pełno na niej połamanych dachówek i kafelków, jakichś brezentów i szmat, starych plastikowych misek i wiader. Okna w domach są otwarte, a okiennice wysunięte na zewnątrz, zapewne od wielu dni nie ruszane, bo Nankin leży w takim miejscu Chin, gdzie zdarzają się długotrwałe upały. Świadczą o tym też nowoczesne klimatyzatory przyłączone do ścian domów, dające nieco wytchnienia podczas najgorętszych okresów. Widzę ludzi krzątających się w pomieszczeniach domów i na podwórkach, wsiadających na rowery i elektryczne skutery, podążających gdzieś pieszo, rozwieszających pranie

na linkach. Ileż takich domowych enklaw jest w chińskich miastach i jakże wiele z nich też zniknęło, ustępując miejsca nowoczesnej zabudowie. Ludzie rodzili się tutaj, żyli i umierali, a potem popadali w zapomnienie, bo orientalny świat nie przykłada tak wielkiej wagi do upamiętnienia szeregowych obywateli. Wielki postęp Chin dokonuje się za sprawą anonimowych bytów, które dają mu swoją energię w zamian za nieco lepsze warunki życia i chwile wytchnienia w takich domach, jak te w dole. Przez moment zatrzymuję wzrok na roślinności, wdzierającej się na podwórko i otaczającej domy, wyraźnie mającej znamiona tropikalnej. Z wysokich drzew zwisają cienkie liany, a na dole krzewią się oleandry, karłowate sykomory i palmy. Mgła szybko ustępuje i zielen nabiera wyrazistości, staje się przestrzenią kontrastową dla małych i wielkich domów. O Nankinie nie można pisać bez nawiązań do wielkiej tragedii, która miała miejsce w tym mieście od grudnia 1937 do stycznia 1938 roku i teraz też, patrząc na podwórko pode mną wyobrażam sobie małą



Ming Lou – główny pawilon Ming Xiaoling

dziewczynkę, rosnącą pośród kochającej ją rodziny, a potem podstępnie schwytaną i bestialsko zgwałconą przez japońskich żołdaków. Może właśnie w tym momencie zrodziła się we mnie myśl, by napisać książkę o cierpieniach ludzkości w różnych miejscach świata i jeden z rozdziałów poświęcić dziewczynce o mlecznym imieniu Mały Skarb? Na razie stoję przy oknie nankińskiego hotelu i przyglądam się budzącemu się do życia miastu, położonemu nad rzeką Jangcy i jakby symbolicznie wchodzącemu do nowej rzeczywistości ogromnego państwa.

Opuszczam pokój hotelowy i wychodzę na ruchliwą ulicę, jak zwykle w chińskich miastach mającą specjalny pas dla rowerów, skuterów i motocykli. Chcąc przejść na drugą stronę trzeba być bardzo ostrożnym, bo pasem tym mkną wciąż nowi ludzie, często okryci brezentem i zamaskowani, chroniący się przed smogiem. Mijam ogromny sklep jubilerski z figurkami ze szczerego złota, bransoletkami, łańcuszkami i biżuterią jadeitową, a potem kieruję się ku sporemu placowi, gdzie chcę poobserwować ludzi i pojazdy. Po drodze mijam miejsce, gdzie zaparkowano dziesiątki, a może setki elektrycznych skuterów, świadczących o tym, że ich właściciele dotarli do miejsc przeznaczonych – biur, sklepów, niewielkich restauracji i placów budowy. Wszystko tutaj tętni życiem i manifestuje niespotykaną energię ludzkich mrówek, składającą się na potężny przekaz energetyczny monsturalnego mrowiska. Przy placu zauważam wysokie wieżowce mieszkalne z oszklonymi balkonami, służącymi mieszkańcom jako suszarnia do prania albo niewielka oranżeria. Okna niestety nie są najczystsze, a niektóre wręcz porażają brudem – wszystko dlatego, że wiele z nich umocowanych zostało na stałe, a nikt nie ma zamiaru wychylać się na dwudziestym czy trzydziestym piątym



Skutery i rowery w Nankinie

piętrze budynku. Nie widać przy nich zbyt wielu samochodów, bo Chińczycy od dawna budują osiedla, zaczynając od parkingów podziemnych. Przy wieżowcach stoją niższe bloki, zaledwie kilkupiętrowe, w których mieszkają bogatsi ludzie. Będzie mi dane w przyszłości zobaczyć takie mieszkanie, często mające kubaturę powyżej stu metrów kwadratowych, gustownie ozdobione sztukaterią z marmuru i gipsu. Po kilku minutach dochodzę do placu, przy którym mieści się sporo małych lokali gastronomicznych, jest nawet chiński McDonald's. Wchodzę do tradycyjnej restauracyjki i zamawiam miskę makaronu sojowego, wcześniej upewniwszy się, że na stolikach są pojemniki z pastą chili. Lubię jeść tutejsze dania z tą ostrą przyprawą, czym zaciekawiam moich chińskich przyjaciół, przyzwyczajonych do europejskich i amerykańskich zwyczajów żywieniowych obcokrajowców. Siadam przy oknie i po chwili otrzymuję sporych rozmiarów naczynie wypełnione makaronem zalany rosółem i drugi półmisek z warzywami. Jem powoli czując, że pot występuje mi na czoło od gorąca i ostrości przyprawy, którą wkładam pomiędzy nitki potrawy. Na placu jest wielkie rondo, na którym aż trzech policjantów kieruje ruchem, zatrzymuje i uruchamia przepływ pojazdów. Najwięcej jest jednolicie pomalowanych taksówek, ale na rondo wjeżdża też sporo ciężarówek, trzykołowych bum-bumów i ludzi na skuterach. Czasem pojawia się motocyklista, a innym razem policjanci przepuszczają rowerzystów i właściciele elektrycznych hulajnóg. Kończę jeść makaron, wypijam z miski resztę rosółu, który zabarwił się od chili na czerwono i tak pokrzepiony wędruję z powrotem do hotelu na umówione spotkanie z grupką przyjaciół. Po drodze podziwiam piękne, filigranowe, młode Chinki i fotografuję niektóre, a one odwziewają się promiennym uśmiechem. Jedna z nich, wędrująca wraz z koleżanką, zatrzymuje się i mówi do mnie po angielsku, że chciałaby mieć zdjęcie ze mną. Prosimy koleżankę by pstryknęła fotkę moim aparatem, a dziewczyna wręcza mi wizytówkę z e-mailem swojego biura i prosi o przesłanie zdjęcia. Żartuję, że wykorzystam jej adres, by czasem z nią poflirtować, co wywołuje u niej nową salwę śmiechu i zapewnienie, że odpowie na każdego maila. Odchodzę, myśląc o moim przyjacielu, który ożenił się z piękną Chinką i potem opowiadał, że na początku był miód, ale szybko jego ukochana stała się ostra jak brzytwa i zaczęła mnożyć żądania, którym nie mógł sprostać.

Znowu jestem w hotelu i z okna na końcu korytarza patrzę na Nankin, a moją uwagę przykuwa kolejne podwórko z innej epoki. To tyły domów wybudowanych

w czasach komunistycznych, upakowanych jeden obok drugiego, szarych i nijakich, jakby z powieści i opowiadań Franza Kafki. Przerażająca rozpacz bije z tego miejsca, w którym nie ma przestrzeni dla ludzi, dla ich życia i rozwoju. Później wiele razy będę widział w Chinach takie skomasowanie domów i uliczek, brudnych podwórek i zagraconych śmietników. Jakże przerażające jest to, że w takich antyprzestrzeniach rodziły się miliony ludzi i ich życie toczyło się potem wokół nich, a jedyną odmianą była poranna wyprawa do fabryki i powrót o zmierzchu. Na wyciągnięcie ręki są dwa dachy z blachy falistej i metalowych dachówek, jeden brązowy, a drugi rdzawy. Pod jednym z nich widać trochę domu, z oknem kuchennym, za którym zauważam nieco starych mebli, małą kuchenkę na prąd i jakąś starą emaliowaną miskę. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że brakuje tam bieżącej wody, którą jacyś pracownicy ludzie przynoszą wiadrami z ulicznych pomp. Gdy wybuchała moja świadomość i biegłem jako malec po bydgoskiej ulicy, widywałem często ludzi noszących ciężkie wiadra z wodą, napelniane przy pompach. W Chinach, w wielu miejscach, taka rzeczywistość się zatrzymała, choć przecież po drugiej stronie są owe wykwintne apartamentowce, w których elita władzy i finansjera żyje nie gorzej niż w Europie, Australii czy Ameryce Północnej. Widać, że ta przestrzeń nie była remontowana od wielu lat, a renowacje i udogodnienia przeprowadzane bez troski o elewację i ogólny kształt domów. Stąd tyle tutaj kabli, byle jak zamontowanych rynien, przewodów elektrycznych biegnących do skrzynek zaokiennych klimatyzatorów. Szyby w oknach są brudne i ledwie widać za nimi jakąś czarną przestrzeń, najczęściej przerażająco pustą, z matami do spania na podłogach. Chińczycy rzadko gotują posiłki w domach, bo najczęściej jedzą w niewielkich restauracyjkach, albo przynoszą gotowe dania do swoich mieszkań. Jedno z okien jest wybite, ale zamiast wstawić kosztowną szybę, zakryto je

*Na pobliskich drzewach  
zauważam sroki błękitne,  
moje ulubione chińskie ptaki (...).  
Tutaj wyległy się z jaj,  
nauczyły się polować i zdobywać  
pożywienie na śmietnikach  
i tutaj będą przez całe życie.  
Jak ludzie, którym nigdy  
nie przyjdzie do głowy,  
by porzucić to miasto (...),  
będą codziennie przemierzać  
miejskie przestrzenie  
w drodze do pracy i podczas  
powrotu do domu, a potem  
umrą spokojnie i zrobią  
miejsce nowym pokoleniom.*

turkusową fakturą, co nie dziwi, bo Nankin jest raczej ciepłym miastem, w którym na porządku dziennym są upały, a temperatura bardzo rzadko spada poniżej zera. Najcieplejszym miesiącem jest lipiec, a najzimniejszym styczeń, choć bliskość Morza Wschodniochińskiego i w dalszym tle Oceanu Spokojnego generuje różne anomalie pogodowe. Szczególnie mgły są tutaj fascynujące, obserwowane z mostu nankińskiego albo przy jednym z dopływów potężnej Jangcy, chociaż i deszcze mają swój urok i zdarzało się, że stawałem na jakiejś ulicy, długo przyglądając się zmieniającej się rzeczywistości, z pokracznymi platanami ulicznymi i ludźmi umykającymi przed ulewą.

Fotografowanie ludzi w Chinach to jedno z moich ulubionych zajęć. Teraz, patrząc na oba podwórka przy hotelu, przypominam sobie ludzi widzianych nieopodal niego i moje myśli biegną najpierw do tysego ślepcy, siedzącego na rozkładanym krzeselku i grającego na miniaturowym *èrhú*. Jego dwustrunowy instrument wydawał tak żalosne dźwięki, jakby miał odzwierciedlić ogrom tragedii tego starego człowieka, który może urodził się z tą straszliwą niedogodnością albo stracił wzrok w jakichś dramatycznych okolicznościach. Lewą dłoń oparł na gryfie i dociskał struny, a w prawej trzymał smyczek, którym wydobywał właściwe tony. Stałem zauroczony i wyobrażałem sobie kim mógł być ten niepozorny mężczyzna o urodzie japońskiego samuraja, będący wirtuozem *èrhú*. Przed nim leżał odrapany futerał w formie długiego prostopadłościanu, noszący ślady co najmniej trzech malowań olejną farbą: białą, brązową i błękitną. Na futerał stała duża puszka z napisem *Kanbro*, zapewne po ciasteczkach z orzeszkami ziemnymi, do której życzliwi ludzie wrzucają jakieś monety, rzadziej banknoty. Moja darowizna w wysokości dwudziestu yuanów zapewniła muzykowi dobry obiad, choć może miewał w swoim życiu szczęśliwe dni, gdy uzbierał znacznie więcej pieniędzy. Jakkolwiek by nie było, muzyka wydostająca się z jego instrumentu chwyta za serce i przenosi w wyobraźni



↑ Bezdonna chora na ulicy Nankinu  
← Niewidomy grajek

ku magicznym Chinom, pełnym cudownych górskich zakątków, wijących się między nimi rzek, srebrzyste połyskujących jezior i morskich wybrzeży. Starzec musi siadać w tym miejscu codziennie i grać bez ustanku, na co wskazuje niewielka płachetka cielejącej skóry ułożona na lewym udzie i chroniąca je przed odcisnięciami. Patrzę na tego człowieka, robię mu zdjęcie i staram się przeniknąć materię jego losu, jakże tragicznego i pięknego w kontekście muzyki, z którą stale obcuje. Beethoven powiedział kiedyś, że muzyka jest większym odkryciem niż cała mądrość i filozofia, i teraz, gdy tak opromieniła mnie sztuka tego niewielkiego człowieka, znalazłem potwierdzenie tych słów.

Odchodzę od starca, przyglądam się mijającym mnie taksówkom, autobusom i bum-bumom, i po przejściu dwustu metrów przystaję nieopodal ławki, na której śpi w najlepsze mężczyzna w średnim wieku. Ma na sobie schludnie wyglądające spodnie z licznymi kieszeniami zewnętrznymi i niebieską, elastyczną koszulkę. Głowę oparł na szarej siatce z zakupami lub całym jego dobytkiem, ale najbardziej interesująca jest gazeta, którą przyciska rękoma do brzucha i boku. Zastanawiam się, czy jest to jego dziwaczne odkrycie, czy też może czytał ją zanim zasnął i tak już zostało. Nie ulega jednak wątpliwości, że śpi spokojnie, a poruszające się pod powiekami gałki oczne wskazują, że właśnie śni w najlepsze. Śpi przy ruchliwej ulicy i nie zwraca

uwagi na mijających go ludzi, na pojawiające się w jego tle rowery i skutery, parkowane przy ścianie dużego budynku. Śpi z ufnością, że nie spotka go nic złego w tym miejscu, złodziej nie pojawi się, a policjanci nie odprowadzą go do aresztu. Nie wygląda na żebraka, miejskiego włóczęgę, a nawet jeśli wstąpił na jakąś wątpliwą ścieżkę, to zapewne znajdzie swoją drogę w życiu – tacy jak on potrafią sobie poradzić i nawet w najtrudniejszych momentach wypływają na powierzchnię życia.

Opuszczam śpiącego i wędruję dalej ulicami Nankinu, a za rogiem dużego domu handlowego nieomal wchodzę na uliczne łoże kolejnego „śpiocha”, bez żenady leżącego na środku chodnika. Ten człowiek bliższy jest wyobrażeniom polskiego lub europejskiego menela, a unoszący się wokół niego nieprzyjemny zapach sytuuje go poza nawiasem chińskiego społeczeństwa. Leży na dużej plastikowej macie w żółtym kolorze, zajmując jej prawą część, jakby za chwilę miała przyjść druga osoba, która położy się obok niego. I tutaj stoi duża puszką na pieniądze, a przy niej rozłożono kartki z informacjami, które odczytała mi z fotografii moja przyjaciółka Zhao. Okazało się, że była to jednak kobieta, bardzo chora i przyniesiona na ulicę przez męża, który umieścił na kartce takie oto informacje: *Nazywam się Wang Q. i mieszkam niedaleko Huaibei. Moja żona leży tutaj, bo ma guza macicy, a dodatkowo martwicę naczyń krwionośnych w kończynach dolnych. Jeśli jej nie wyleczę, istnieje ryzyko amputacji. Do tego wszystkiego w mózgu mojej matki są robaki. Pragnę leczyć moją żonę i matkę*

*i błagam życzliwych ludzi, by pomogli mi przejść przez te trudności. Będę wdzięczny za wszelkiego rodzaju pomoc. Dziękuję! Dobre intencje są nagradzane, a dobrzy ludzie są bezpieczni w swoim życiu!*

Ociągając się trochę, ruszyłem dalej ulicą i natknąłem się na przystojnego młodzieńca w granatowej koszulce, z angielską reklamą stylowych podróży i pomarańczową torbą z prawej strony. Chłopak szedł swobodnie, tuż przy parkingu dla setek rowerów i skuterów elektrycznych. Ręce oparł na kieszeniach długich dżinsów i wyraźnie zamyślił się nad czymś, kompletnie nie zwracając uwagi na to, że go fotografowałem. To był dość mglisty dzień i w dali widać było ledwie zarysy wieżowca ze strzelistą

po wyburzeniach, jakby specjalnie przygotowane do nowej zabudowy. Po chwili dołączyli do mnie chińscy przyjaciele z Jalalem z Maroka, poetką z Francji i ruszyliśmy pieszo w stronę Librairie Avant-Garde największej księgarni w mieście, w której miało mieć miejsce nasze czytanie wierszy.

Z Librairie Avant-Garde wziąłem folder reklamowy zatytułowany dumnie *Najning: A City of Literature*. Teraz spoglądam na niego i najpierw zrażam się mottem z Mao Zedonga, pompatycznym i komicznym, porównującym miasto do smoka i tygrysa, w którego antycznej chwale łączą się żywioły ziemi i nieba. Przez ułamek sekundy pojawia się w mojej głowie myśl o Czesławie Miłoszu, który tłumaczył poezję tego typu i opublikował w „*Twórczości*”. Na szczęście na następnych stronach pojawiają się informacje i zdjęcia, które budzą moją ciekawość. Okazuje się, że Nankin ma pięćdziesiąt trzy uniwersytety i kolegia pedagogiczne, w których uczy się bagatela osiemset tysięcy studentów, a pośród nich dwadzieścia tysięcy gości z osiemdziesięciu obcych krajów. W tak wielkiej struktu-



← Uliczny grajek w charakteryzacji z chińskiej opery  
↓ W miastach Chin wielu ludzi śpi na ulicach



iglicą, ale w bliższym planie rysowały się wyraziście wysokie, nowoczesne budynki. Za przejściem dla pieszych zauważyłem też orientalne kształty dawnej cesarskiej fabryki brokatu, jedynie poszerzonej nowymi sześcianami dobudówek. Spokój młodzieńca dobrze współgrał z zatrzymanymi autami i ludźmi przechodzącymi na pasach dwie wstęgi ulicy. Stałem na chodniku i kontemplowałem rozległość Nankinu, jego liczne place i puste przestrzenie

rze odnajdziemy też około tysiąc bibliotek, spośród których największa jest Biblioteka Narodowa z dwunastoma milionami woluminów. Jak piszą twórcy katalogu, ambicją Nankinu jest zachowanie i odwzorowanie światowego dziedzictwa kulturowego, w którym akcentuje się dokonania Chin. Już w piątym wieku (438 r.), w czasach panowania cesarza Wena założono pierwszą instytucję edukacyjną, w której nauczano konfucjanizmu, taoizmu, historii



i literatury. Trudno się zatem dziwić, że w Nankinie poeta Zhong Rong z piątego wieku, napisał pierwszą książkę teoretycznoliteracką, zatytułowaną *Styl poetycki*, a przecież z dumą wskazuje się jeszcze innych nankińskich poetów, teoretyków i prozaików: Xie Lingyuna, Xie Tiao, Liu Xie, Zhou Xingsiego, Xiao Tonga. Na sąsiedniej stronie umieszczono wizerunki słynnych poetów i poetek chińskich, którzy poświęcili swoje strofy miastu nad Jangcy. Czytam zatem fragmenty wierszy Li Baia, Du Mu, Li Yu i najsłynniejszej chińskiej poetki Li Qingzhao. Autorzy wskazują, że w czasach dynastii Ming (1368-1683) i Qing (1683-1911) Nankin stał się ważnym centrum kulturowym w Chinach, czego przypieczętowaniem było powstanie w mieście *Encyklopedii Yongle* w sześćdziesięciu tomach, zawierającej 370 milionów słów, określanej do dzisiaj jako największa encyklopedia w dziejach ludzkości. Na kolejnych stronach umieszczono nawiązania do dzieł słynnych współczesnych pisarzy chińskich: Zhu Ziqinga, Yu Pingbo, Lu Xuna i Ba Jina, a także amerykańskiej pisarki i laureatki Nagrody Nobla Pearl S. Buck. Znajdziemy tam też dział prezentujący 24 arcydzieła współczesnej sztuki edytorskiej – między innymi kompendium *Materia medica* Ge Honga, *Sen czerwonej izby* Cao Xueqini, *Historia późnej dynastii Han* Fan Ye, *Historię kultury chińskiej* Liu Yihui, *Poezję dynastii Song* Tanga Guizhanga. Dwie kolejne karty poświęcone zostały regionalnym pisarzom nankińskim, takim jak Gao Xiaosheng, Su Tong, Han Dong, Zhao Benfu, Lu Wenfu i lekko zezowaty Ye Zhaoyan, którego miałem okazję kilkakrotnie spotkać w Chinach. Liczne wydawnictwa w tym mieście publikują sporo klasyki chińskiej i światowej, a serie wydawnicze promują noblistów i laureatów innych wielkich nagród literackich: między innymi J.M. Coetzee'ego, V.S. Naipula, D. Lessing, J.M.G. Le Clézio. Ogromną rolę odgrywa tutaj też wymiana międzynarodowa i organizacja licznych imprez literackich i festiwali – Chiny to może ostatnie miejsce na ziemi, gdzie w księgarniach są tłumy, a spotkania z pisarzami przyciągają ogromne rzesze uczestników.

Obiad jemy w osobnym pokoju, przygotowanym specjalnie dla nas i raz jeszcze oddaję się przyjemnościom pochłaniania ogromnych ilości warzyw i owoców. Są też półmiski z rybami, ale pochodzą one ze zbiorników słodkowodnych i mają bardzo dużo ości. Zhao umiejętnie wydobywa skrawki mięsa spomiędzy nich, ja wolę specjalnie przygotowane grzyby *mun*, kielki i gotowane

na parze młode liście kapusty *pak choi*. Ilekroć wybieram się do Chin, znajomi pytają mnie o różne obrzydlistwa żywieniowe, o których czytali w Internecie lub widzieli je podczas projekcji filmowych. Najwięcej wątpliwości budzą specjalnie preparowane kostki krwi, tłuste larwy owadów, koniki morskie i skorpiony pieczone na patykach w oleju, wędzone pisklaki i węże, nieodmiennie padają też pytania o mięso psów i kotów, o cuchnące stuletnie jaja, o zupy z żab, karaluchów i ślimaków morskich. Najczęściej dania te pojawiają się na specjalnych straganach, przy niewielkich jadłodajniach, gdzie przewalają się tłumy ludzi, w luksusowych restauracjach raczej trudno je dostrzec w menu. Tutaj widzę tylko wieprzowe żołądki i ośmiornice w panierce, są też rozgwiazdy i śmierdzące tofu, które zdążyłem już polubić. Bezpiecznie jem tylko warzywa i najczęściej nakładam sobie talarków korzenia lotosu, który jest ważnym komponentem posiłków w krajach Dalekiego Wschodu. Przyglądam się poszczególnym okręgom, ścinanym z grubych bulw i liczę okrągłe otwory. W każdym jest co najmniej dziesięć takich kóleczek, którymi żywa roślina transportuje płyny na powierzchnię, do liści i przepięknych kwiatów. Korzeń smakuje dziwnie, jakby natura połączyła w jednym dziele kalarepę i brukiew, a do tego dodała nieco słodkości owocowych. Danie jest lekko mdłe, więc dodaję do niego sporo papryczek chili, małych cebulek i młodych marchewek. Widzę, że moi towarzysze też pałaszują co się da i wszystko przetykają ryżem z sosem sojowym. Siedząca obok mnie Zhao co chwilę podrzuca mi na talerzyk białe kawaleczki ryby, zachęca też bym jadł słynne chińskie buleczki, przygotowywane na parze w piętrowych pojemnikach z wikliny. Mam na nie ogromną ochotę, ale trochę boję się ich farszu, w którym mogą być zmielone owady, żaby lub bliżej nieokreślone podroby. Przyjaciółka zapewnia mnie, że w środku są tylko warzywa, ale nie dowierzam i dalej pałaszuję grzyby z lotosem.

Po obiedzie ruszamy metrem do kompleksu świątynnego w Nankinie z górującą nad nim strzelistą pagodą Jiming (雞鳴寺). Jego obiekty znajdują się na wzgórzu Jilong, tuż przy jeziorze Xuanwu, w samym centrum miasta, przy ośrodku olimpijskim. Budowę świątyni zainicjował cesarz Liang Wudi i pierwotnie nosiła ona nazwę Tongtai, ale niewiele się zachowało z tamtych czasów, bo trzęsienia ziemi i pożogi wojenne zrobiły swoje. Obecny kształt – z roku 1387 – Jiming zawdzięcza wspomnianemu cesarzowi Hongwu, choć nie wiadomo ile oryginalnych

detali odtworzono po wielkim pożarze w 1973 roku. Legenda głosi, że w jednej ze studni świątynnych, wraz z dwiema konkubinami, ukrywał się słynny generał Chen Shubao. Wchodzimy na dziedziniec i rozdzielamy się, zaczynam więc samotnie zwiedzać wąskie uliczki i kolejne budynki, w których widzę wiele figur bóstw i słynnych postaci z dziejów Chin. Patrzę na ludzi klęczących i bijących pokłony przed jakimś wąsatym demonem z wykrzywioną twarzą, odzianym w złote szaty i przy-

widokiem i rozmyślam o drogach mojego życia, które przywiodły mnie do tego miejsca. W którymś momencie z oddali podchodzi do mnie Zhao Si i zaprasza na poczęstunek w pięknej restauracji ze znakomitym chińskim piwem, kawą i słodkim deserem. Siedzimy przy otwartych oknach i przyglądamy się szarościom w dali, jakiejs innej odległej pagodzie, elementom reklam centrum sportowego i wieżowcom wyrastającym z mglistych oparów. Widać też fragment murów miejskich i mostu, na którym



Świątynia Jiming w Nankinie

ozdobionym wieńcami z kwiatów. Jak zwykle w takich momentach rodzi się we mnie refleksja o naturze wierzeń i przekonaniu ludzi, że jakiś wojskowy z dawnych czasów, cesarz lub postać fantastyczna dopomogą im w życiowych trudach. Niestety nie mogę wejść do czterdziestoczworometrowej pagody, która została zamknięta dla zwiedzających, rozkoszuję się jednak jej orientalnym

zamontowano pięć ogromnych kół olimpijskich, a pośród niskich domów stoją wysokie, budowlane żurawie, zapowiadające zmianę rodzaju zabudowy. Patrzę w dal, roztapiam się w szarościach i dopada mnie nostalgia, może spowodowana zmianą pory dobowej, wszak w Polsce jest już głęboka noc. Wielokrotnie w takich chwilach myślałem o miliardach ludzi, którzy żyli w Chinach i umierali

w każdym stuleciu i nic po nich nie pozostało, oprócz budynków, umocnień obronnych, dróg i mostów. Patrząc na dwie dziewczyny siedzące przy sąsiednim stoliku, żywo sobie o czymś opowiadające, popijające zieloną herbatę i jedzące pałeczkami nieco warzyw z krewetkami. Obie należą do grupy etnicznej Han – jedna jest dość puculo-wata, przez co zatraciła charakterystyczne rysy, ale druga, ubrana w czarną, jedwabną sukienkę prezentuje się pięknie i ma bardzo zmysłowe usta. Widzę, że obie panie zerkają na naszą grupę od czasu do czasu i wymieniają uwagi. Wreszcie ta urodziwsza podchodzi do nas i pyta pana Liu, czy mogłyby zrobić sobie z nami zdjęcie. Zastanowiło

mnie to, że od razu skierowały się do tego milczącego Chińczyka, jakby nauczone doświadczeniem wielu lat, wiedziały, że to nasz tajny opiekun. Wstajemy od stolów i pozwalamy dziewczynom zrobić sobie z nami zdjęcia, a w ostatniej chwili dobiegają jeszcze dwie kelnerki w bordowych fartuszkach i stają po bokach grupy.

Dzień powoli zbliża się do końca i opuszczamy kompleks świątynny, by metrem wrócić do hotelu, w którym czeka na nas jeszcze jedna kolacja, tym razem znowu bardzo obfita, ze słynną wódką 1573 i chińskim winem w baryłkowatych, fajansowych baryłkach.



fot. archiwum prywatne autora

## DARIUSZ TOMASZ LEBIODA

– ur. 23 kwietnia 1958 roku w Bydgoszczy. Poeta, prozaik, translator i wydawca, wieloletni wykładowca Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego. Visiting professor The State University of New York at Buffalo (2002). Członek Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC), Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej. Redaktor naczelny kwartalnika filologiczno-artystycznego „Temat”. Przewodniczący kilku kapituł nagród, w tym Prezydent European Medal Of Poetry And Art HOMER. Członek honorowy związków pisarzy Armenii, Bułgarii, Ukrainy, Chorwacji, Macedonii, Czarnogóry, Stowarzyszenia Pisarzy Bałkańskich. Wiersze i eseje publikował w „Twórczości”, „Odrze”, „International Poetry Review” (USA), „Contemporary International Poetry” i „Translations” (Chiny) oraz w dziesiątkach innych periodyków literackich w kilkunastu krajach. Uczestnik wielu międzynarodowych festiwali literackich na pięciu kontynentach, w tym spotkania pisarzy amerykańskich i polskich (Nowy Jork 2000) oraz wymiany międzynarodowej autorów chińskich i europejskich (Pekin 2009). Za twórczość literacką nagradzany w Chinach, Iraku, RPA, Armenii, Bułgarii, Rosji i Macedonii. Odznaczony Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi RP, Odznaką Honorową Zasłużony dla Kultury Polskiej i Medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”. Laureat wielu polskich i zagranicznych nagród literackich, między innymi Nagrody Qu Yuana (Chiny 2019).



Malgorzata Maslowiecka, ilustracja do: Malgorzata Dobkowska, *Lotne*, Ksiaznica Podlaska im. Lukasza Gornickiego, Bialystok, 2022